



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

NOWY ROK.

Rok!..., to dla istnienia ludzkiego okres czasu niemały; to posunięcie się wskazówki na życia zegarze: i ztąd ostatni dzień kończącego się roku, ma dla nas uroczystą powagę swoją. Jutro rano będzie nam zaczęcie czasu godzina nowa, i dziś oglądamy się poza siebie na tę, co uchodzi, aby się z nią obliczyć i poznać: co nam w biegu swoim przyniosła? Amerykański poeta nazwał czas materiałem budowlanym, z którego my, doli naszej budownicy, wznosimy sobie gmach życia, i to już jest strata, już jest deficyt, już zubożenie, jeżeliśmy marnie ujęć mu dali, nie obróciwszy go na żaden nasz pożytek, na zarobek żaden. Stracony rok życia... o! strata to ogromna, większa, niż narazie poznać możemy i później, później dopiero człowiek nieraz spostrzega, że mu tego zmarnowanego roku właśnie braknie do szczęścia, do cnoty, do zbawienia się ode złego! To czegośmy w biegu czasu nie ujęli, pochwyca inni, i nieraz—o! nieraz przeciwko nam właśnie użyją, bo w naturze spoczynku niema, w czasie coś koniecznie dziać się musi: więc leniwi, niedbali, zapóźnieni, ubiegniętymi zostają—przychodzą do zdrojów już wyczerpanych, do miejsc już zajętych, łąnów obsianych ziarnem cudzem, które komuś innemu, nie im, plon rodzić będzie. Od pojedynczej istoty do wielkich aglomeratów, które się narodami zowią, prawo to korzystania z czasu wypełnia się z konsekwentnością surową: ztąd czujność, energia, zabiegliwość pracowita—wszystko to są przymioty, które, choć właściwie same jeszcze cnotami nie są, zostają jednak do najwyższych cnot katechizmowych: do miłości, do wiary, do nadziei, w stosunku takim, jak siła do

działania, oręż do rycerza, skrzydło do ptaka, który ma przepaście przelecić. Są winy nasze, są winy ludzkie, są często losu wyroki okrutne, które nam na drodze do pracy wpoprzek stają i przeszkody tworząc, pożytek mniejszym, a nawet małym, bardzo małym czynią; ale kto się mimo to nie zniechęci i rąk nie opuści, pod wiatr losu idąc, na duchu nie upada, kto mimo goryczy doli takiej od celów swoich się nie odwraca—ten czasu nie tracił.

Obowiązek pełnił i pokrzepiające uczucie tego zyskał—zyskał drugostronnie to, że trwał: na stanowisku swem się utrzymał, obowiązki swe pełnił. Trwanie wśród okoliczności ciężkich, to zasługa, z tej posiadanej siły powstająca, o którą się upomina przypowieść ewangeliczna, podnosząca naukę swoją przeciw budowaniu na piasku, to jest przeciw słabości rzeczy płytkich. Dąb dlatego trwa lat sto, że w grunt głęboko korzeniami idzie; burza go nie przewróci, bo ma się na czem oprzeć, piorun, nawet rozdarłszy go, nie zabija, bo żywotność jego podsycą się przez żywność soków z głębi branych. Trwać—to znaczy zarazem mądrość posiadać. Kiedy, naprzykład, jadących w stepie podróżnych zamieć wichrowa spotyka, przewracają wózek i tulą się pod niego. Ciężko tam i ciasno—niewygodnie, ale wytrwali i przez tę wytrzymałość swoją, nie dali się porwać złemu losowi, nie zboczyli z drogi, nie zabłądzili w kierunku przeciwnym szlakowi dążeń swoich.

Trwałość i wytrwałość zasadza się na głębokości podstaw naszych, na skupieniu się tej treści żywotnej, która w dębie nazywa się miąższem i tworzy zbitość jego, jego zsiadłość, oporną na wpływy zewnątrz. W człowieku—to siła woli, to charakter i zasady. Kto, obojętny się na jutro swoje, przy obliczaniu się z czasem może w sobie te wielkie przymioty znaleźć, ten na mury dla swego ducha, na dom życia swego, pracował dobrze i niech nie mówi, że czas stracił,

choćby pozornie nabytki jego wykazały się nie mogły zebraniem bogactw dotykanych. Już to jest bogactwem najwyższem, jeżeli kto wie o sobie, że mocnym być potrafił, że umie się oprzeć losowi. Takie przeświadczenie daje spokój i krzepi męztwo, czoła ludzi w ten sposób szlachetnych stroją się w spokojną pogodę, która jest piękniejszą, cenniejszą koroną od wszystkich wieńców wawrzynu.

Ale z losem w zapasy iść jest rzeczą ciężką, wtedy nawet, gdy walka dzielnie wygraną zostanie. Pierś człowieka wzdycha do szczęścia w łagodnym sił swych rozwoju, które nie na odpór się wyczerpują, ale przynoszą pomyślnę pracę owoce, w jasnym i ciepłym słońcu dojrzają. Dlatego też zaraz po tym ostatnim dniu starego roku, który każe nam się ze światem i sobą rachować, do strat przyznać, o niedobór się upomnąć i często gryzącą łzę z oczu szybko otrzeć, aby słabością na lice się nie stoczyła—ludzie czynią sobie z dnia następnego, z pierwszego dnia nowego roku, świętą nadziei. Więc życzenia wszystkiego, co za dobre, za miłe uznają, przez usta im płyną i są to pragnienia nasze, sformułowane teraz w słowa, są to skryzalizowane pojęcia nasze o szczęściu.

Lecz dlatego właśnie życzenia—to dla ducha ludzkiego nie takie ulotne efemerydy, któreby, powstając z pianki marzenia, nikły potem bez śladu, jak owe bańki mydlane, które dziecko w powietrze puszcza dla krótkiej rozkoszy patrzania na coś, co mu się od blasku słońca świeciło. I dziecko nieraz potem takich błyszczących nicości żałuje, bo z ich obrazem pojęcie piękna sobie łączy, ale życzenie, które z głębi myśli, z głębi uczucia naszego powstaje, inaczej jeszcze, przejście swoje zaznacza i inny ślad zostawia po sobie. Bawić się w życzenia może być rzeczą niebezpieczną, może być rzeczą dla ducha naszego szkodliwą, jeżeli to będą obrazy błyskotek lichych, trochę blasku przez powierzchnią swą odbijających, bo nietylko rozprysną się one prędko

GLUPIA DZIEWCZYNA

NOWELLA

przez

Edwarda Lubowskiego.

(Dokończenie).

Antosi zaświeciły się oczy radością.

— Może ty i masz słuszość. Bał ale jakże tu sprowadzić ich razem niby niespodziewanie, a naturalnie?

— W tem już moja rzecz, moja imć dobrodziejko! Najpierw tego Rozbielskiego znam trochę, a potem od czegoż moja, tak przez imć dobrodziejkę sławiona, bystrość?

Antosia rzuciła mu się na szyję.

— Jakiś ty mądry, Kajetanie, a przytem, jaki... dobry!

Nie trzeba nigdy wywoływać złych duchów. Antosia żałując, że radcy nie widziała tak dawno, przeczuć nie mogła, że wsamraz, w tej chwili może, jechał pan radca fiakrem krakowskim jednokonnym, zakutany w majestatyczny płaszcz szary z fatrzanym kołnierzem, a pogrążony tak głęboko w myślach, że nawet gdy w przejeździe przez kulawy mostek powóz przechylił się na bok, on jęknął tylko machinalnie, ale się nawet nie spytał stangreta: co się stało?

Nic dziwnego: pan radca jechał z missyą bardzo ciężką i bardzo ważną i bardzo drażliwą, a zarazem jechał do owej Antosi, której się lękał i wstydził. Jako żywo, nie przestąpiłby nigdy progów męża tego „kozaka dziewczyny”, tembardziej, że tego męża nie zna wcale; lecz namyślać się mu nie wolno. Tu, w pugilaresie, na piersiach, spoczywają jego bilety wierzytelne, nagłące do pośpiesznego działania, a pani Bolewskiej nie ma w domu u siebie, bo znajduje się właśnie w domu córki, która się wydała sama za tego pana Kajetana.

— Sama się wydała — mrucał pod nosem — taki też to i mąż być musi! Panie Boże, zmiłuj się! ta dziewczyna musiała się zbakierować... gdzieś coś, z kimś poznała się, ot i galopem ślub... Dobrze i to dla niej... upośledzone to od natury i od losu... a ja zmuszony jechać do jej domu!.. niemile, niemile dla mnie, a chociaż upokorzę tę małą, która mnie przedrwiwała, zem taksamo mylił się jak Napoleon, ale zawsze wołałbym jej nie widzieć. Trudno jednak: raz jeszcze wystąpię jako opiekun.

Wyjął tabakierkę, zażył i kichnął.

— Musiałem kataru dostać. Nic dziwnego... po takich drogach i gdzie jedziemy... do jakiegoś tam młyna... męża ma młynarczyka! Ha, ha! dobrze, że nie kominiarczyka! W młynie mieszkają! ha, ha!..

Nagle zamyslił się.

— Bał ale w takim razie muszę ja wracać na noc, bo nie głupim nocować w młynie... i pewnie na sianie, przy odgłosie turkotu kół... rozkosze! Biedna Bolewska z takim zięciem... chociaż tamten wynagrodzi jej wszystko. U tamtego też ja stale bywać będę przez lato i na każde święto. Ten chłopak mi się udał kanalia! Niedarmo pokochała go odrazu... pańska natura, pańska, nie młynarska.

I znów się rozśmiał serdecznie, bardzo zadowolony z siebie, a w tej chwili dorozkarcz zajechał przed dworek, dorozumiawszy się z bliskości młyna, że to tu być musi.

Pan radca powoli wysiadał, z pewnym strachem wyprostował członki i spojrzął przed siebie. Zdziwił się. Dworek wcale porządny, nawet ładny.

— To chyba nie tu! — hm, panienko! — zawołał do stojącej na ganku dziewczyny — czy to tutaj mieszkanie pana Pokrzywskiego?

— A juścić! — odparła wiejska dziewczyna.

pod naturalnym powietrza naciskiem, ale pojęcie piękności nam sfalszują, z nieodpowiedzialną ulotnością ją wiążąc. Życzenie jest biernym stanem naszej woli; ale dajmy tej rojącej je woli wszechwładztwo, a życzenie stanie się rzeczywistością i w życie nasze wkroczy, udział swój w niem biorąc.

Życzenie może być jak iskra, która na palne żywioły ducha naszego padając, pożar w nim zapala. Abyśmy żyli dobrze, czuli szlachetnie, myśleli podniosłe, powinniśmy mieć dobre, szlachetne, podniosłe życzenia, w tym kierunku nawet, na którym ziszczenie ich prawdopodobnem się nie wydaje. Jeżeli szalone, to po co je roić i szaleć przez nie w duszy? Jeżeli złe, niskie, nędzne i wiążące się w nas z próżnością, z chęcią używania lichych, z materialnego tylko szczęścia obrazami, to zawsze staną się w nas ujemnością cnoty i pragnienia wyższych, poniżą nas w duszy naszej i, skrzydła ducha obciążając, wzleciec nam ku górze nie dadzą. — Pokaż mi twych przyjaciół, a powiem ci kto jesteś... mówi Francuz w bardzo rozumnym przysłowiu, które bez szkody dla jego moralnej prawdziwości można tak przetworzyć:

— Wypowiedz mi w życzeniach twych zawarte ideały twe życiowe, a poznam natychmiast gatunkową wartość twego ducha.

— Nie marnuj życia na ideały!... ostrzega drógstronnie Żmichowska, myśląc o tych wielkich, wysokich pragnieniach, które powstają w duszach szlachetnych, gorąco czujących ludzi, i budząc tam wielkie, wysokie życzenia, zagradzają im nieraz drogę do czynnego, pracowicie poświęconego życia w warunkach smutnej i daleko od ich ideału odbiegłej rzeczywistości. A przecież pług pracy czeka na nich i niewolno im, tak jak niewolnikom, rąk opuścić, nieobecni tam być, gdzie się dźwigają ciężary i znoją czoła, gdzie ludzie muszą się opędzać nędzom chwili, orząc grunt kamienisty. Ideał ich powinien tylko być stałe i niezachwianie przewodnią gwiazdą ich czynów i kroków; ku niemu, wysoko i daleko świecącemu, powinna się kierować każda ich myśl: o niego powinna się opierać ich wiara, do niego zwracać się ich nadzieja, a wzgląd na niego tkwić w każdym ich postanowieniu, mieścić się w każdym ich zamiarze. Tak żyć — znaczy żyć nierozdzielnie z ideałem swoim, w piersiach noszonym, i wtedy górne jego natchnienie, w najpowszedniejszą pracę życia wcielone, będzie ją z nim wiążąc: będzie nas ku niemu podnosić, a jego ku nam zbliżać i drogi nasze przed nim prostować.

Istnieje pobożna legenda o prostaczku ubożuchnego ducha, który, gdynawet pacierza nie umiał, na ofiarę dla Boga przez rów pełen wody skałał, wołając: — To Tobie, Panie, a to mnie... Tak oto można z ideałem swoim w nierozzerwanej styczności trwać, przez każdy szczegół podzielonego z nim życia świadectwo mu dając. Jakość sukni, która nas odziewa, smak chleba, który nas karmi, uśmiech na ustach, łza w oku — wszystko może go w sobie zawierać, przez wszystko można go wyznawać i wołać: — To tobie, miłośco moja! to tobie ideały moje... Ten znoj, ten trud, to odjęcie się przyjemności miękkiej, to przyłożenie się twarde do surowych życia zadań — to tobie!...

Tak to pełni się ów mistyczny cud wiary, która góry przenosi. Po milion ziarenek piasku, z których góra jest usypana, kolejno się schyli, milion ziarenek piasku podniesie — wytrwała, cierpliwa, w uмиłowaniu ideału swego karna, przeniesie górę!...

W zapatrzeniu na wysokie szczyty trawic się bolesnie, ramion Atlasa pragnąć, a swoje w dół opuścić — to jest owo zmarnowanie życia na ideały, przed którem upomina poetka, i dlatego też, oglądając się na rok stary, który się kończy, patrząc na rok nowy, który się zaczyna, życzymy sobie uczuć silnych w sercach czystych, pragnień szlachetnych, nad niski poziom pospolitego życia podniesionych, które przecież niech nam ducha w uiejętych tęsknot lenistwo nie biorą, ale dla pracy powszedniej górną podniętą się stają — nicją, która dalekie nadzieje ideału z najbliższym obowiązkiem rzeczywistości spaja.

Marya Ilmicka.

— Hm, hm, dziwy, dziwy!

Majestatycznie wszedł na ganek i do sieni, postanowiwszy nie zdejmować wcale płaszcza, bo po co sobie robić ceremonie z tym jakimś tam młynarzem i Antosią! Służąca pobiegła naprzód dać znać państwu — i nagle drzwi się otwarły. Antosia, stanąwszy w nich, przywitała radcę takim serdecznym śmiechem, zapraszając go do wejścia, że pan radca, odrazu skonfundowany, zapomniał języka w gębie.

— Czekałam, czekałam na pana radcę i nieraz mówiliśmy o panu. Niechże radca zdejmie ten piękny płaszcz: u nas ciepło, w piecach pali się regularnie.

Pan radca zrzucił pośpiesznie płaszcz i, zaczerwieniony, upokorzony, wszedł oglądając się to na pokoje elegancko prawie umeblowane, to na Antosię, która napół dobrodusznie, napół żartobliwie, ciągnęła go za sobą.

— Ucieszy się też mama i mój mąż!

— Mąż? — przerwał radca — kiedy ja tu, moja pani Antosiu — mówi cicho — w bardzo krótkim, ale niezmiernie ważnym interesie.

— Więc do mnie tylko z interessem, a w odwiedziny do swej dawnej pupilki to nie łaska?

— Owszem, owszem, i to się zrobi później... tylko teraz, moja Anto... moja pani Antosiu, potrzebuję małej konferencyjki z mamą.

— Ja zaś mam odejść, na bok jak dawniej? — śmiała się Antosia.

— Gdzież tam! bynajmniej: owszem, nie, przeciwnie i nawet jeżeli Anto... pani Antosia chce, może posłuchać. Chodzi tu o Anielkę...

— Co znowu? — przestraszyła się Antosia i zatrzymała. — W takim razie — rzekła tak samo cicho — musi pan mnie najpierw powiedzieć o co chodzi. Siadaj, panie radco, i spowiadaj się.

— Ależ kiedy o Anielkę...

— Panie radco, nie puszczę cię dalej, dopóki mnie nie opowiesz; przedewszystkiem jednak każe przynieść jakąś zakąseczkę... dobrze?

— Hm, zakąseczka mi nie zaszkodzi...

Poskrobał się po głowie, ciągle zmieszany, zawstydzony, on taki zawsze pewny siebie, bo mu wyraźnie ta mała imponowała.

Antosia zakręciła się galopem. Pan radca wytrzeszczył oczy. Uderzył go wielki sliczny zegar brązowy i dwie gdańskie szafy, dywan na całej posadzce i wogóle wszystko, co świadczyło o prawdziwej zamożności.

— Ta smarkata wcale zdaje się dobrze wybrała! Już to los bywa ślepy... co on w niej widział ten pan młynarz?... oczywiście musi to być grube, opasłe i stare człeczysko, który potrzebował kucharki i wziął ją sobie...

Powróciła Antosia, radca wyteżył swój wzrok.

— Trochę wygląda już podobniejsza do ludzi — pomyślał.

— Zatem, panie radco, opowiedz przede mną najpierw.

— Niech i tak będzie. Zawsze mnie Anto... pani Antosiu, przedrwiwała, że się mylę, jak Napoleon...

Antosia ujęła się ze śmiechu pod boki, radca spojrzął na nią obrażony.

— Moja pani, byłem twym opiekunem, jestem radcą szanowanym powszechnie.

— Przepraszam, drogi radco, przebacz nieprawnej Antosi.

Pan radca przebaczył głównie dlatego, że w tej chwili wniosła tasama wiejska dziewczyna stoliczek nakryty, na którym bystre oko radcy odkryło: koniak, kawior, śledzie, wędliny i półgęski.

Spojrzął z większą już dobrocią na Antosię.

— Zaraz przyniosę coś ciepłego, tymczasem zaś proszę radcy tę zakąseczkę, a tu doskonała chlebówka, którą mąż mój bardzo chwali.

Pan radca napił się raz, napił się dwa razy i rzekł:

— A gdzież mężulek?

— Przy robocie, i dopiero na obiad przyjdzie. Pan radca go nie zna?

— Zkądżeby?

— Al prawda! to nie pan radca zapoznał go ze mną!

— Jeszcze musi być młody człowiek? — wyce-

— Gdyby i tak było, jak pan mówisz, cóż ja na to pomogę?

— Nie wiem czy pomożesz, ale chciałem okazać panu, że Aniela nie tak bardzo zgrzeszyła względem pana, a jeżeli zgrzeszyła, to za to pokutuje, a potem...

— Cóż potem?

— Chciałem, ażebyś pan zrobił także z siebie ofiarę i przebaczył jej.

— Jeżeli chodzi o moje przebaczenie, dawno przebaczyłem; lecz tego mi nikt nie zabroni, że zapomnieć nie mogę.

— Dobrze więc, przebaczył jej pan tylko, ale niech ona wie o tem.

— Jakto? mam jej sam?... żadasz pan za wiele.

— Proszę tylko drogiego pana: zbliż się do nas, przybądź do mnie w odwiedzin, zabaw w naszym domu; a gdy spotkacie się przypadkiem, powiesz jej choćby tesame tylko suche słowa, które mnie teraz powiedziałeś.

— Nie, panie; nie widzę potrzeby; a potem spotkanie takie byłoby równie bolesnem dla niej, jak dla mnie.

— Potrzebnem jest dla uspokojenia jej, dla pogodzenia się z samą sobą. Professorze, nie jesteś dzieckiem ani nerwową kobietą, ażebyś na ten czyn uczciwy zdobyć się nie mógł.

— Niech i tak będzie, ufam słowu pana, że potrzebne to dla stanu jej duszy.

Pan Kajetan uściskał profesora serdecznie, a żegnając się z nim, uniósł obietnicę przyjazdu jego w chwili, którą uznają obaj za stosowną.

XIII:

Było to już w porze przełomu zimy z wiosną, w dniach zmiennych Marca. Śnieżna zadymka, trwająca już od kilku dni, trzymała mieszkańców dworów wiejskich w zamknięciu, przy pryskającym wesoło ogniu na kominku, lub w komnacie przy ogólnym stole, przy którym zwykła zasiadać rodzina.

W dworze pana Kajetana, w pokoju jadalnym, siedziała pani Bolewska, smutna od niejakiego czasu i tak zamyślona, że często nie uważała co do niej mówią, przy niej Aniela z haftem w rękę, ona co dawniej leniła się kaleczyć delikatnych swych paluszków—nieco dalej pan Kajetan, bębniący widelcem postole, lecz w rzeczywistości zapatrzonny z zachwytem w Antosię, która rozlewała z wielkiego samowara herbatę.

Ona też jedna mówiła za wszystkich wesoło, naiwnie dowcipnie i z tą potrzebą rozveselenia innych, jaką uczuwa człowiek sam zupełnie szczęśliwy. Nie udawało się jej jednak: matka nie słuchała wcale; Aniela, uśmiechając się do siostry, na którą przelała teraz całą miłość, do jakiej zdolną była, rzadko tylko odpowiadała jakim słowem, widocznie myślą goniąc gdzieindziej; jeden tylko pan Kajetan odpowiadał żwawo i trochę się z żonką swą drażnił, wciągając ją umyślnie w polemikę.

Antosia zaproponowała właśnie przejażdżkę sankami nazajutrz w sąsiedztwo, czemu p. Kajetan opponował z obawy zaziębienia się jej i Anieli, na co Antosia odpowiedziała żywo, że Aniela dobrze opakuje, sama zaś lepiej jest zahartowaną od niego i tak wytrwałą, że gdyby się poduczyla strzelać—próbowała już kilku strzałów z dubeltówki, potrafiłaby po całych dniach polować w kniei wśród najtęższego mrozu. Pan Kajetan, potrząsając głową i śmiejąc się, rzekł:

— Twoim zdolnościom łowieckim ani myślę ubliżać, sądząc z danych przez ciebie dowodów celności, atoli, gdyby ci tak przyszło ze strzelbiną w rękę stać w mroź na stanowisku.

— Anibyśmy się ruszyła z miejsca: czy tylko wy mężczyźni chcecie być bohaterami?

— Chcemy być zawsze, jesteśmy tylko czasem; wszakże, co do łowów, to chyba jeszcze nam rady nie dacie.

— Gdybyśmy się uwzięły! Mój Kajetanie, nie przedrwiwaj mnie tak ciągle i podaj lepiej tę

szklanę Anieli... a swoją drogą cieszę się nadzieją jutrzejszej sanny, do której mi, spodziewam się nie przeszkodziś?

— Czyżbym śmiał?! skoro każesz, dobrze, wymawiam sobie tylko, że przy opakowaniu jejmości sam będę obecnym.

W tej chwili dały się słyszeć dzwonki u sań zajeżdżających przede dwór.

— Kto to być może? — zerwał się p. Kajetan. — Jaś pewnie nieustraszony—dodał, zerknąwszy na Aniela.

Wybiegł czemprędzej dowiedzieć się. Aniela, szybko wstawszy z miejsca, rzekła:

— Moja Antosiu, jeżeli to goście, pozwól mi zostać w swoim pokoju.

— Dlaczego, Anieliu? rozweselisz się trochę, moja droga.

— Mnie i tak nie nudno bynajmniej u was, ale dziś trochę mnie boli głowa.

— I ja pójdę do siebie — rzekła, jakby budząc się nagle, pani Bolewska.

Już się obie skierowały ku drzwiom, gdy nagle rozwarły się szeroko drzwi przeciwległe i wszedł p. Kajetan, prowadząc za sobą przybyłego gościa.

— A gdzie to panie wychodzą? — zawołał gospodarz — i to właśnie, kiedy nam tak pożądanego gościa przybywa.

Odwróciły się obie, matka z córką; Antosia, zmieszana, zatrzymała oddech.

— Mój przyjaciel Rozbielski! — prezentował p. Kajetan, lubiący brać wołu za rogi.

Professor, ucałował rękę matki, wyciągnął rękę ku Anieli. Aniela czuła, że cała krew zbiega się jej ku sercu. Ucisnąwszy machinalnie podaną sobie rękę, nie wiedziała, czy odejść czy pozostać. Ale pan Kajetan działał za wszystkich.

— A com się go naprosił, żeby nareszcie raz pokosztował wiejskiego barszczyku! No, nareszcie mamy go! Siadajcież panie, Antosiu, gościowi trzeba dać co zakąsić. Wszak professor państwu moim znany?

— Tak jest — wycedziła mocno zakłopotana pani Bolewska.

Aniela siadła przy matce; niezdolna wymówić słowa, w dziwnym osłupieniu patrzyła przed siebie.

— Do mnie należy — ozwał się spokojnie professor — przeprosić tysiącrotnie szanowne panie za moje nagłe przerwanie tak miłych dla mnie wizyt, ale na razie nie moja była w tem wina. Zachorowałem dosyć ciężko.

— Chorowałeś pan? — krzyknęła prawie Aniela.

— I choroba przeciągnęła się kilka tygodni. Później wyjechałem trochę w góry na odpoczynek, i tak jakoś się zwlekło.

— A myśmy nic nie wiedziały o chorobie pana — rzekła pani Bolewska.

— Nic a nic — powtórzyła jak echo Aniela.

Powróciła Antosia. Professor przywitał się z nią serdecznie bardzo i bez żadnego przymusu. Antosia, której serce tak mocno biło, jakgdyby professor niegdyś starał się o nią, a nie o Aniela, kręciła się, trzepotała, chcąc te pierwsze godziny tak bolesnego dla wielu zetknięcia się z sobą, ożywić i naprowadzić na ton o ileby się dało swobodny i naturalny. Dzielnie jej w tem dopomógł Kajetan, który z zadymki przeszedł na polowanie, z polowania na politykę, zwłaszcza, że w tej dobie ciekawe rzeczy rozgrywały się w świecie politycznym. Aniela miała czas przyjsć do siebie, atoli, rzecz dziwna, wiadomość o chorobie profesora wzruszyła ją tak silnie, że z zajęciem, którego nie doznawała nigdy wówczas, gdy on byłby życie oddał za jej względy, wpatrywała się w twarz jego. Na twarzy tej ślady cierpienia, pracy i zmartwień, wyrły się tu i owdzie fałdem, koło ust wyrzeźbiły się bolesnym zagięciem; w oczach tylko iskrzyły się zawsze ognie prawdziwej inteligencji i energii świadomej siebie. Po przebyciu ciężkiej choroby i przeboleń ostatniego złudzenia, nie wyglądała się młodziej i piękniej; więc też i professor przygarbił się i postarzał, a jednak Aniela twarz

jego i postawa po raz pierwszy uderzyła swą niezwykłą szlachetnością.

Zwolna, zwolna pod wpływem podsycającego humoru młodych małżonków, ociepliła się atmosfera. Pani Bolewska nawet wzięła udział w rozmowie, a professor, który tu przyjechał niechętnie, pod przymusem moralnym i z zamiarem spełnienia tylko jaknajzimmniej swego obowiązku, rozgrzał się mimowoli i stał się znów takim, jakim był zawsze. Kilka razy przemówił wprost do Anieli, przypatrując się jej z niemniejszym zajęciem, niż ona jemu,—zdziwiony zapewne, że ta, którą teraz widzi przed sobą, niepodobną jest do dawnej. Powinien się był jednak bardziej jeszcze zadziwić tem, że tasama Aniela, która dawniej była tak pewną siebie w rozmowie, tak sarkastyczną i wyzywającą, teraz odpowiada mu zająkując się i miesząc.

Professor, odprowadzony przez gospodarza do wyznaczonego dla siebie pokoju, milczał zadumany, aż gdy posłyszał „dobranoc“, zapytał się nagle:

— Czy panna Aniela chorowała? taka błada i znękana!

— Niestety, jest znękana rzeczywiście! — odrzekł krótko gospodarz, który wszakże do wy czekującej go niecierpliwie Antosi, rzekł ze znaczącym uśmiechem: „Lepiej się odbyło, niż przypuszczałem.”

XIV.

W następnych dniach wszyscy już oswoili się ze sobą. To, czego zwykle dokazać zdoła tylko taktowarzystki i trochę komedyi, tu dokazała kryształowej prostoty natura profesora. Zdawało się, że zapomniał, w jakim celu przyjechał i czem były dla niego te kobiety, a widział tylko życzliwych i przyjaciół naokoło siebie, którzy z szacunkiem i zajęciem słuchali go, ilekroć, uniesiony jakimś przedmiotem rozmowy, puścił wodze swej przekonywającej wymowie. Wtedy z całą szczerością człowieka, co zwykł dowodzić tego tylko co zbadał głęboko lub życiem swem okupił, rozwijał swoje idee, broniąc ich z tym zapałem młodzieńca, który złudzeń swych wyrzec się nie mógł i nie chciał. Często w takich razach sam nagle urywał, wstydząc się swego zapału, on, który młodzieńcem już nie był, i bojąc się może dostrzedz znowu ironicznego uśmiechu, jak dawniej... Ale teraz twarze wszystkich, zwrócone ku niemu, wyrażały spólcucie; jedna tylko Aniela siedziała, nieruchoma, z głową spuszczoną ku ziemi, jakgdyby nie słyszała nawet słów dźwięku. Kilka dni tak upłynęło na wspólnej poufnej gawędce, na serdecznej, rodzinnej prawie wymianie myśli; ile razy jednak Antosia w porozumieniu z mężem i matką chciała zostawić profesora samnasam z Aniela, zawsze zrywał się on przelekniony, odchodząc wraz z nimi. Nie wiedział dlaczego lękał się tego samnasam, a przecież przybył w tym celu, ażeby się raz z nią rozmówić szczerze. To, co przed kilkoma dniami wydawało mu się łatwym i koniecznym, teraz, gdy obserwuje Aniela małomówną i smutną, staje się dlań niezmiernie ciężkiem. Tymaczy przed sobą, że dopełnienie tej formalności jest już zbyt ciężkiem, skoro z nią rozmawia przyjacielsko i bez okazywania najmniejszej goryczy; to znowu, że smutku jej i zadumy nie godzi mu się przerywać wspomnieniami dawno już zapewne zagrzebanymi w jej pamięci—słowem: odkłada z dnia na dzień, pomimo że niedługo wracać już będzie musiał do domu. Aniela także z widocznym przestrachem unikać, się zdaje poufalszej z nim rozmowy, jakkolwiek słuchając go, doznaje przyjemności, z której sobie sprawy zdać nie umie. Wszystko, co mówi, jest dla niej nowem i zajmującym i wierzyć sobie nie chce, iż dawniej, słuchając go, poziewała i nudziła się.

Oboje mieli sobie tyle do powiedzenia!—ale przypomnienie tego, co się stało, zamykało im usta. Unikali się wzajemnie i czuli zarazem pociąg ku sobie. Ona chciała go tylko błagać o przebaczenie; nie mogłaby usunąć się nazawsze od tego świata, wiedząc, że tam jedna dusza boleje przez

że tego tylko, że sprawczynią całego tego szczęścia nazywała tak długo i uparczywie: *głupią dziewczyną*.

K o n i e c .

LISTY J. T. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

VII.

Nie chcę dochodzić, oile już powszechnie uważają za dowiedziony i nieprzeparty axiomat, że wszelkie dalsze ciągi niewarte są dzieła, które miały uzupełnić, przetworzyć, udoskonalić; ale doświadczenie codzienne przekonywa nas aż nadto o prawdzie w zdaniu powyższem wyrażonej. Mało jest nawet autorów, którzyby *à la longue* na wysokości pierwszych swych dzieł utrzymać się zdołali. A pomimo takiego doświadczenia, widzimy, że prawie każdy, komu poszczęściło się w danym rodzaju, w dziele danego charakteru, rzuca się skwapliwie do dalszego ciągu. Mówią sobie: — „Jestem na dobrej drodze, mam natchnienie: a więc idźmy dalej“. W ostatecznym rezultacie dzieło Nr 2 nie warte jest dzieła Nr 1 i z wyjątkiem przyjaciół *quand même*, utrzymujących, że się autor ciągle podnosi, olbrzymieje i t. d. — cały świat widzi, że powtórzenie jest tylko słabem odbiciem pierwszego wcielenia idei.

Spieszę zapewnić w sposób jaknajbardziej stanowczy, że aforyzm powyższy nie stosuje się do żadnego z pisarzy naszych i nie mogły być do żadnego zastosowanym; że nie wywołało go żadne dzieło słowne u nas, a mające otrzymać teraz ciąg dalszy — nie: mam na myśli autora *John Bull et son île*, który teraz wydał, jako dopełnienie: *Les filles de John Bull* (septième édition. Calman Lévy, 1884, pag. 325).

John Bull et son île, książka urocza, napisana z zapędem stylowym, z talentem obserwacyjnym i z niepospolitym dowcipem, książka posiadająca pewną oryginalność formy i treści — miała niesłychane powodzenie, tak, iż w krótkim czasie doczekała się 160 wydań we wszystkich językach. Czytano ją ogromnie, krytykowano, roztrząsano: klasy czytające po obu stronach Kanału, były wyłącznie tą książką zajęte. Po takim powodzeniu, rzecz prosta, księgarz zażądał dalszego ciągu, czegoś „w tym samym rodzaju i z tą samą poczytnością“ — aby znowu można było urządzić taką samą seryą wydań, jaką się urządziło z *John Bull*. Autor nie mógł się oprzeć: uległ, dał się przekonać i namówić; przyszły mu na myśl córki *John Bulla*: i oto wziął przed się napisać ów tom, któryśmy w tych dniach otrzymali. Zbłądził tem że nie poczekał na natchnienie, że zanadto zaufał tej nieokreślonej sile, która mu za pierwszym razem tak znakomita usługę wyświadczyła. Zabrałiśmy się do czytania z otuchą, że znajdziemy tu tensam dowcip, rozum, poryw i żywość autora, który nam tak dobrze sportretował był *John Bulla*. Niestety, niestety, trudno zrozumieć co się stało. „Córki *John Bulla*“ wydają się utworem innego zupełnie pióra, innego stanu umysłowego. Pan *Max O'Rell* Nr 1 nie podobny jest niczem do p. *Maxa O'Rella* Nr 2.

Po przeczytaniu książki, po przejrzeniu powtórnem główniejszych jej rozdziałów, dla sprawdzenia, czy przypadkiem pierwotne wrażenie nie zostawało pod wpływem niekorzystnego usposobienia chwilowego — konieckońców wyznać musimy, że córki nie warte są ojca. Wiele im do tego brakuje. Tu i owdzie odnajdujemy dawniej sży dowcip autora, wyławiamy jakieś zajmujące spostrzeżenie, aforyzm, myśl zręcznie rzuconą; ale w całości widzimy, że siła rozpędu, spryt, humor p. *Maxa O'Rella* ustały na pierwszym tomie; drugi nie ma oryginalności swego poprzednika, pod koniec nawet jest prawie nudnym.

Biorąc książkę do ręki, spodziewaliśmy się zna-

leźć w niej obmyślany artystycznie obraz, któryby nam dał poznać Angielki lepiej i bliżej niż to czyniły romanse *Elliota et consortes*; nie dowiedzieliśmy się od autora niczego więcej, tylko tego — co zresztą i zkażdym już wiadomem było — że niema dwóch istot mniej do siebie podobnych, niż kobieta francuzka i angielska.

Pierwsza zostaje *in manu mariti*, pod władzą męża; nie ma prawa rozporządzenia swym majątkiem, jest wiekusiście małoletnią, ale przytem wszystkim panuje i rządzi, jak pierwsza sułtanka w seraju. Kobieta angielska, przeciwnie, to co ma, posiada na nieograniczoną własność, rozporządza mieniem swem bez asystencyi męża; ale w domu jest gospodynią, czuwającą nad stołem i komfortem i niemającą prawa podnieść głosu, zażądać niczego, coby jej tylko własne upodobania zaspokoić miało. Małżeństwa zawierają się bez żadnych formalności, bez błogosławieństwa. Córy *John Bulla* mają prawie nieograniczoną swobodę ruchów i mogą chodzić, gdzie im się podoba, albo same, albo w towarzystwie mężczyzn; nie troszczą się bardzo o złe języki, dla zabawki stworzyły sobie umizgi (*flirtation*) bez dalszych konsekwencji; mają swoje „miodowe lata“ — ale z tem wszystkim rozplywają się w społeczeństwie, żadnej w niem nieodgrywając roli, bez wpływu na nie. Tak twierdzi p. *Max O'Rell*. Utrzymuje on, że w Anglii niema półświatka, a przynajmniej, jeśli jest, to się kryje i nie widać go wcale.

Wyczytawszy w pierwszym zaraz rozdziale o *flirtation* i przyjrząwszy się obrazowi zalotów miłosnych na sposób angielski, które poprzedzają lub poprzedzać mają małżeństwo, stajemy wraz z autorem wobec ceremonii ślubnej. Jest to coś wyjątkowego w tym kraju. Małżeństwo obywa się tu w ogóle bez ceremonii; autor zaręcza nam, że obywa się także i bez posagu.

Bo takim początku obiecuemy sobie jakikolwiek systemat w opowiadaniu; ale na tem już koniec. Przychodzi następnie wyciąg z jakiegoś pamiętnika Francuza ożenionego z Angielką; i oto grzęzniemy w błotku fantastycznego nieładu. Autor wchodzi na pierwszą lepszą ścieżkę i ciągnie nas za sobą. Nie jest on wcale przyjacielem Angielki; piękność jej wydaje mu się martwą, z powabów obraną. Dostrzega na niej tyle małych śmieszności, że nawet najczarowniejsza z temi wszystkimi dodatkami musiałaby się stać wstrętną.

Im dalej zapuszczamy się w te studia towarzysztwa angielskiego (ze strony kobiet), tem mniej zadowolenia doznajemy. Znaleźć można małe obrazki rodzajowe z dość ładnym kolorytem, ale nic większego, szerzej zarysowanego, nic poważniejszego i głębszego. Pomimo tylu wzorków kobiecych, czujemy, że się nam kobieta angielska z rąk wymyka — nie widzimy jej. Zresztą pan *O'Rell* uwiązał w obrębie własnego swego pojęcia z Anglikami i nie wychodzi z niego. Mówi mało o klassach wyższych, nie mówi nic, absolutnie nic, o niższych, — uważając przedmiot ten za równie wstrętny, jak oklepany. Pole spostrzeżeń p. *M. O'Rella* kończy się na mieszczaństwie.

Autor skłania się do zdania, że podrzędna rola Angielki w domu, w rodzinie, przy boku męża, umożliwiła w niemałym stopniu pomyślny bieg ogólnych interesów Anglii. Błuznierca! utrzymuje on, że na 100 Angielek, znajdziesz dwie za ledwo ze sprytem. I dalej już czytamy dosłownie:

„To jednakże nie tamuje *John Bullowi* powodzenia i w sprawach maluczkich. I owszem, Anglia wszystkich swoich wielkich podbojów dokonała w czasach, kiedy z kobietą obchodzone się u niej tak, jak z istotą zamkniętą w haremie: i tej to obojętności dla kobiety, tej niepodległości mężczyzny, przypisać można w części — jak sądzimy — powodzenie Anglików w dziejach świata“ (!?)

Przypomina nam to jedną broszurę niemiecką, wydrukowaną w Poznaniu, z piętnaście lat temu, w której wszystkie nieszczęścia Polski przypisano przeważnej roli, jaką kobieta odgrywała w społeczeństwie i zajmowała u ogniska domowego Błuznierstwa to wszystko — fałszywe wnioski; a przecież, oto w wieku, który usiłuje dać kobiecie godne jej stanowisko w społeczeństwie, dają się słyszeć podobne głosy i może nawet znaj-

dą echo w umysłach powierzchowych i patrzących tylko na jedną stronę medalu.

Zdaje mi się, że po przytoczeniu powyższego ustępu nie potrzebuję już kłaść zbytniego nacisku na samą książkę, z której go wyjąłem.

Obraz stosunków między państwem i służbą w domach angielskich posiada rysy wielce charakterystyczne, których tu w wątpliwosc podawać nie chcemy. *P. Max O'Rell* nie dostrzega między jedną a drugą stroną żadnych śladów uczucia, żadnego węzła ludzkiego, żadnego zbliżenia. Autor zapewnia, że nigdy żadnej damie angielskiej nie przyszło na myśl podać rękę służącej i okazać jej choćby najlżejszą życzliwość. Chorą sługę — odsyła się do szpitala. Służba, uważana za maszyny, robi to, co do niej należy, kożysta ze swobody niczem niekontrolowanej i tworzy osobny świat dla siebie.

Począwszy od rozdziału XV, nawet forma literacka książki ulega zmianie. Ustają spostrzeżenia; zaczynają się dramatyzowane epizody z życia angielskiego. Jedna z tych scen odgrywa się ni mniej ni więcej tylko w niebie i pod laską Ś-go Piotra. Nie jest to rzecz w najlepszym gustie, jest raczej rzecz chybiona, nudna, pretensjonalna. Książka potrzebowała jeszcze tego, aby ją coś dorznęło; zadanie to spełnia właśnie ów epizod niebieski. Na zakończenie znajdujemy ogólne uwagi o Anglii, jej polityce, o p. *Gladstone* — jakby forsownie przychepione do ostatniego rozdziału dla podniesienia jego objętości do normy zgóry wskazanej.

Przyznajemy, żeśmy już dawno nie doznali takiego zawodu, jaki nam zgotował autor *John Bulla*. Pierwszy tom był arcydziełem, drugi jest czemś niekształtnem i do najwyższego stopnia mdłym.

Przyjemnie-by nam było teraz, potem nieszczęsnem *fiasco*, przedstawić czytelnikom coś udatniejszego; ale książki dobre nie codziennie się zjawiają i tylko w miernocie zawsze panuje obfitość. *Romans bezimienny* — hrabiny *Mirabeau* — i dalsze ciągi „*Gypów*“ pomimo całego swego rozgłosu niewiele są warte. *Pani „Henry Gréville“*, jedyny talent kobiecy, który się trzyma i wzmacnia, na koniec roku nie dała żadnej nowości. *Pani Adam z La Nouvelle Revue*, porobiwszy sobie przyjaciół w Niemczech, zawarła teraz pakt z Węgrami, *Nowości literackie* w dziele romansu i powiastki w tej chwili nie odznaczają się niczem wybitnem. Ani *Claretie*, ani *Ohnet*, ani *Guy de Maupassant* nie dali nic nowego. *Germinal* *Zoli* ukazuje się jednocześnie pofrancuzku i poniemiecku, a za ledwie się ukazał i ściągnął na siebie oskarżenie o plagiat.

Trudno wyrozumić czyn tego zapożyczenia się, spełniony przez człowieka obdarzonego tak potężną wyobraźnią, zbrojnego w taki materiał, w umysłnych studiach żywcem pochwycony; a jednak pożyczka jest oczywistą — cyniczną. Przytaczają całe ustępy wprost przepisane z książki dziś już nieznanej, zapomnianej. Zapowiedziany proces może nam wytłómaczy zagadkę.

W Niemczech na porządku dziennym literatury nadobnej znajduje się nowa powiastka *Pawła Heysego* i nowy *romans Ebersa (Serapis)*. Pierwszej jeszcze —śmy nie otrzymali, drugi, któryśmy dopiero czytać zaczęli, zapowiada się jako utwór podobny do *Córki króla Egiptu* i *Uardy* z tą tylko różnicą, że świat chrześcijański w zapasach z pogaństwem występuje tu na pierwszy plan. W początkowych zaraz rozdziałach autor staje po stronie gnębnego pogaństwa i zdaje się jakgdyby sympatyzować chcieć z czcicielami *Serapisa*. Nie ma nic podobnego, że będzie w dalszym ciągu wyszukiwał stron ciemnych, zakątków ponurych nowego społeczeństwa, które tworzyło się z żywiołów tak różnorodnych i w owej epoce tak mało jeszcze miało spójności organicznej — aby nam ostatecznie dać jasną apologią świata pogańskiego i jego wierzeń w świetle subtelnej filozofii.

RUCH MUZYCZNY.

Niech mi czytelniczki *Bluszczu* wybaczą, jeśli, pisząc pod wrażeniem, za gorąco będę opisywał te

com słyszał i widział na koncercie Dyrekcyi Teatrów, w którym występowała głośna zagranicą wiolinistka, Teresina Tua. Było to talibne, a tak idealne, że pragnąłbym co żywiej zażądać fakt w kronice muzycznej, by mi się te wrażenia nie rozwiały jak sen lub marzenie. Proję sobie wyobrazić młodziutką, miłą, niezmiernie sympatyczną istotę, która, z powagą i pewnością siebie, wchodzi w rolę wirtuoza artysty, i gdyby nie to, że szczęśliwa młodość wyziera figlarnie z każdego uśmiechu, gdyby nie ta postać zadająca kłam, możliwości długo-trwałej a ciernistej pracy, sądzić-by można, że przed nami rozwija się skarby talentu jeden z doświadczonych, dawni zbierający laury, wirtuozów.

Na określenie tej gry musimy posiłkować się porównaniem. Teresina Tua jest to Saassate w zmniejszonym formacie. Tasama szkoła, słodczy ton, tasama gładka ciągłość cantilen, ten sam dowcip we frazowaniu i temperament oracy a miękki. Wziąwszy na uwagę młody wirtuozki, trzeba podziwiać tę grę, jak podziwiamy piękny pączek wspaniałego kwiecica, zam się jeszcze rozwinąć zdoła.

Wszystko to wiedzie nas do przekonania, że Teresina Tua jest zjawiskiem zadziwiającem, nie tylko przez obecną skończoność gry, ale przez to, że na przyszłość wróży nam coś niezwykle doskonałego w artyzmie wykonawczym.

Obecnie już dzieła takie, jak: koncert Mendelssohna, koncert Brucha, dzieła Viëxtemps'a, Sarassatego i Wieniawskiego, mają w niej wybornego tłumacza-poetę, który rozumie intencje autorów, z czującą wdziękiem je wypowiada i łączy z własną swoją indywidualnością. Rozumie się samo przez się, że pokrewna duchem i szkołą ze swym pierwotypem Sarassatym, nierównie lepiej odczuwa jego fantastyczne porywy północnego temperamentu, niż północny romantyzm, odziany mgłą pochmurnej zadumy, to znów budzący się w rycerskich, pełnych powagi lubgrozy akcentach; i wtedy jeszcze jednak, jakby inicyą niewieścią wiedziona, nie schodzi z właściwej drogi, nie przeinacza myśli twórcy, tylko ją łagodzi, nie zdradzając się zupełnie z brakiem siły tonu i mężkiej poważnej energii.

Podzieliwszy się z czytelnikami ostatniemi wrażeniami, które, mówiąc nawiasem, należy do najbardziej interesujących w tegorocznym sezonie, wypada nam przejrzeć z ubiegłych kilku tygodni kronikę artystycznych występów i popisów.

Niepoślednie miejsce w tej kronice należy się p. Marcellemu Rossi, który dał się słyszeć w Towarzystwie Muzycznym. Młody ten skrzypiec należy do surowej, klasycznej szkoły, której wpływ uwydatnia się w grze pełnej spokoju i refleksji, graniczącej z chłodem. Dla audytorium przywykłego do efektów świetnych, do tysiąca, że tak powiem figlów dowcipnych, jakimi tegoczesna wirtuozowska technika ośniewa i porywa, artysta takiego nastroju, jak Rossi, bywa dość obojętnym. Potrzeba nam zapala, potrzeba nam nieokiełznanej romantycznej cantileny, którą nasze nerwy drażniła: nie dziw więc, że dla gry niewychodzącej poza granicę klasycznej ścisłości i powagi jesteśmy nieco za skąpymi w oklaski. Trzeba jednak przyznać, że p. Rossi nie jest pospolitym skrzypkiem, że posiada technikę dużą, wytrwałość ręki, tryl piękny i równy frazowanie stanowcze, i że ma przed sobą drogę mniej może wdzięczną i kwiecistą, lecz również wiodącą do sławy. Odpowiednim do rodzaju gry był wybór kompozycji: Sonata Gade'go, Allegro Spohra, Moto perpetuo Paganiniego.—Polonez Wieniawskiego może najmniej się do niej nadać; wykonanym też był rytmicznie, „alla placca“, ale bez werwy i ognia.

Na pierwszym koncercie dyrekcyi teatrów dał się słyszeć Stanisław Barcewicz, artysta zbyt chwalebnie już znany i ceniony, byśmy potrzebowali wdawać się w drobiazgowy rozbiór gry jego; mimowoli jednak, gdy reasumujemy wrażenia, jakich od pewnego czasu nie skąpią nam znakomici zagraniczni wirtuozowie, nasuwa nam się pod pióro myśl pełna patriotycznej dumy, że nie mamy czego obcy zazdrościć, posiadając u siebie znakomitość, mogącą śmiało iść o lepsze z europejskimi potentatami. Gra Barcewicza jest in-

dywidualną, wspaniałą, różnorodną, powiedzielibyśmy—skończoną, gdybyśmy słuchając jej, za każdym razem nie dostrzegali coraz świetniejszych, artystycznie, potęgających się odcieni. Podobnych sensacji doznajemy, patrząc na piękny obraz natury, o rozległym widnokręgu, gdzie wzrok naprzemian, to pochłania tysiące estetycznych szczegółów, to ogarnia całość imponującą, a zawsze jakiś nowy urok odkrywa.

Z dzieł większych, nieznanych nam, a które mieliśmy sposobność usłyszeć na tych koncertach, najbardziej zainteresowała nas uwertura Beethovena „Poświęcenie domu.“ — Dzieło to, jedno z ostatnich wielkiego mistrza, nie posiada tych pięknych głębokich myśli, które rozsiewał tak szczerze w swych poprzednich utworach; jest to jakby echo dawnej jego twórczości, osłabłe oddaleniem. Znać w niem tylko mistrza instrumentacji; kilka niezrównanie pięknych ustępów harmoniczných, jak również efektów instrumentacyjnych, nie mogą zapełnić pustki, w której misterne, robotą kontrapunktyczną, figuracje, ciągną się zadługo, by nie miały znużyć słuchacza. Słowem: nie jest to dzieło, któreby mogło samo przez się dać sławę autorowi; interesuje bo—Beethovena.

Organizacyą tych koncertów przyjął na siebie p. Rzebiczek, i gdy chce, orkiestra pod jego batutą sprawia się dobrze. Szkoda jednak, że, czy to wskutek niedostatecznych prób, czy też zaniedbania jednych dzieł na korzyść drugich, nie wszystko tak składnie i sumiennie było wykonaniem (powtórne wykonanie uwertury Beethovena). Dodac do tego musimy, częste niezrozumienie tempa, z wielką szkodą kompozycji, jak to miało miejsce w wykonaniu symfonii Brahmisa, na pierwszym koncercie Dyrekcyi Teatrów.

Juliusz Stättler.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Grudniu 1884 r.

Munkaczy. — Gierymski. — Popiel. — Rybkowski. — Koncerta. — Upadek teatrów. — Wykłady publiczne. — Kanał Suezki. — Prawo do pracy. — Towarzystwo zarobkowe kobiet. — Fanny Elssler.

(Dokończenie).

Mimo, że dotąd nad wystawami ciąży Munkaczy, jednak polskie obrazy wcale nieźle i wybitnie się na nich przedstawiają. Z dawniejszych wyborna jest Gierymskiego „Owocarka żydówka“. Streita „Wesoły ludek“, z młodszych zaś wystąpił Tadeusz Popiel ze szkoły krakowskiej z obrazem wielkim: „Uprawdzenie żydów do niewol babilońskiej.“ Naukę mistrza Matejki poznac tu po wyrazistości postaci, po ich tłumie, po niezmierniej staranności w oddaniu akcesoryów; lecz widocznie artysta nie zapanował jeszcze nad perspektywą, nie umie się jeszcze zmierzyć z wielkością przedmiotu, z natłokiem osób, z których nie zdoła jeszcze ułożyć jednolitej imponującej całości. Bądźco bądź p. Popiel pokazał, że ma siłę, że studjuje, że wiele już umie, a dąży ku wyżynom; wszystko to widać z jego obrazu, a to już bardzo wiele. Rybkowski pracuje nad kilku obrazami; polowania, jarmarki nasze—to jego już wyrobiona specjalność. A ileż on do tego ma studyów, szkiców; jakąż one okazują pracowitość i trafność w chwytaniu ludzi i natury na gorącym uczynku! Tego lata odbył on podróż Dniestrem na statku parowym, a co przywiózł, to wystawił „jako szkice z podróży“, obwieszając wszystkie ściany szkicami robionemi ołówkiem, akwarellą i farbami olejnymi. Są między innymi i pejzaże i portrety i typy ludowe itd. Ta bezpretensjonalna wystawa wywołała wielkie wrażenie, tak, że zaproszono artystę, aby ją powtórzył. Ma on w tekach motywa i materyały na nieskończoną ilość obrazów... Przy tej sposobności warto zwrócić uwagę na pomysł, którym się w Peszcie zajmują. Oto zamierzają tam na wzór podobnych zbiorów w Monachium otworzyć ga-

leryą doskonałych kopii wszystkich arcydzieł z całego świata. Pomysł ten zdaje mi się i dla nas bardzo praktycznym z wielu względów: najpierw jest możliwym; galerya taka byłaby wielce nauczającą, dla artystów i dla publiczności; dla artystów nastęrczyłoby się wiele nader właściwej pracy. Wszak zresztą z rzeźbami tak się wszędzie już dzieje, że się zbiory odlewów gipsowych tworzą. Kopia dobra obrazu większą ma wartość, niż podobizna gipsowa w stosunku do marmuru. Polecam tę sprawę dziennikom i towarzystwom sztuk pięknych.

Muzyki mamy dużo i dobrej. Koncerta filharmoniczne mają stałą swoją publiczność; opera zawsze pełna, choć tego roku intendentura ją zaniedbuje i dopiero na wiosnę zapowiada *le comble* najznakomitszych gości. Gościł tu kwartet Heckmann z Kolonii: fortepian, wiolonczella, dwoje skrzypiec. Są to artyści pierwszej wody, których sława niebawem po świecie całym się rozejdzie. Zgodność, ścisłość wykonania zadziwiająca, ale i sola znakomite i wielu ludzi utrzymuje, że takiego *cello* (wionczella) nie słyszeli. Jeszcze jedną zaletę ma ta czwórka: są to sobie ludziska bezpretensjonalni, prostota ich zachowania się wielce podnosi ich wirtuozostwo.

Ze sceną dramatyczną—nie najlepiej. W Burgu bywają, jak zwykle, klasyczne przedstawienia, np. *Goetz, Wallenstein*, ale co się nowego pokaże, to nadzwyczaj słabe. Dziwna panuje w całych Niemczech jałowość, bezpłodność dramaturgiczna. Z niemieckich nowości dwie należy wspomnieć, obie Blumenthala, już po innych miastach ograne. „Probeppel“ jest to przezwyczenie starego motywu: nauczyciel domowy, jako bohater romansu; a że to berliński utwór, więc wprowadzony niby Polak, Krasinski, jako figura najlichsza. *Grosse Glocke* czyli „Reklama“, ma nieźle sceny i postaci, ale cała rzecz jest poprostu skradziona, sklecona z kilku francuzkich motywów Sardou, Paillera i innych. Turgieniewa *Natalia* odniosła w Burgu zaledwo *succès d'estime*; zato w Peszcie Jokaya *Złoty człowiek*, lubo dramatycznie słaby utwór, ale w epizody i w poezyą bogaty, wzbudza zapal.

Nowo otwarty najstarszy Carltheater zaczął od górnych zapędów, dając raz nawet *Intrygę i miłość*, Schillera; lecz zaraz się opamiętał i wpadł w same błazeńskie possy, bo te lepiej idą. Burg ma tradycyą, ale ożywienia i dążenia jakiegos nie widać; upada, już z tego powodu, że starszych niema jeszcze kto zastąpić. Zresztą jest operetka pierwszą panią na scenie, a obok niej tylko possa się utrzymuje, lub rodzaj *straszhliwy*, obliczony na smak publiczności przedmiejskiej. Teatru dla wykształconej średniej publiczności, ani teatru dla ludu miejskiego, wcale niema, tak tu, jak i w całych Niemczech.

Wykłady dotąd niewiele budzą zajęcia. Wchodzą w modę recytacje, niby teatr, deklamowane całe sztuki lub poemata. Zbieżnym prądem dziejów miały związek dwa wykłady. Professor Suess mówił o Kanale Suezkim. Jaki związek ma to dzieło np. z naszymi rolnikami? Oto w r. 1873 sprowadzono tamtędy z Indyi do Europy 374,000 centnarów pszenicy, w r. 1876—1,957,000 cent., w r. 1883—14,000,000 centnarów. Kanał Suezki pokazał, a w wyższym stopniu pokaże jeszcze Kanał Panama, że niema na całej ziemi tak odosobnionego kąta, na któryby wielkie prądy ruchu ludzkiego nie oddziaływały korzystnie lub szkodliwie.—Dr. Ofner mówił o głośnem dzisiaj *Frawie do pracy*. Kogóż to nie obchodzi? Osnowę wykładu spróbuję tu streścić: Idee społeczne przechodzą dziwne losy; co wczoraj było radykalnem, jutro staje się konserwatywnem. Rewolucya została stłumioną, ale poddaństwa niktby nie chciał przywrócić. Dzisiaj wygłasza ks. Bismarck prawo do pracy, a mimo, że to on uczynił, hasło to przeraziło, bo jest socyalistycznym, bo nowa potęga, robotnicy, podnoszą je. Dawny Landrecht pruski rozumiał pod tem hasłem ludzkość, humanitarność—żeby nikt nie potrzebował cierpieć głodu. Dziś polityka konserwatywna do tego samego dochodzi inną drogą i w innym celu. Landrecht zna ubogich tylko — dziś idzie o robotników; Landrecht dawał pracę jako jałmużnę lub wprost jałmużnę — robotnik żąda tylko prawa

ZA OCEANEM

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

skreślone oryginalnie przez

HELENĘ NEGRONI.

CZEŚĆ DRUGA

(L A P L A T A).

V.

(Dokończenie, Ob. Nr 50).

Ludność Rzeczypospolitej Argentyńskiej. — Indyanie. — Hypoteza Tschudiego. — Jedność pochodzenia. — Srogość Europejczyków. — Wdzięczność Garay'a. — Zepsucie się Indian pod wpływem europejskim. — Testament oficera wojsk Filipa II-go. — Araukanowie, ich język, poezya i wymowa. — „Wielkie Nogi“. — Podróż p. Moreno po Patagonii.

Argentyjczyk Moreno zwiedzał Patagonię i ciekawie daje opisy o obyczajach mieszkańców. Ludzie ci wierzą w przyszłe życie i chorego bliźniego śmierci zawczasu do tej podróży przygotowują. Materyalizm pojęciowy doprowadza ich do mniemania, że im mniejszych jest rozmiarów ciało zdążające do wiecznego spoczynku, tem łatwiejsze jest jego przejście z tego świata w przyszły. Biednego też chorego długo przed śmiercią kładą do worka zrobionego ze świeżo obdartej skóry zwierzęcej, tak układając ciało, ażeby kolana jaknajbliżej leżały brody; zaszywają go wązkim paskiem z tejsamej skóry, która, schnąc, kurczy się powoli i sprawia nieszczęśliwej ofierze prawdziwe męczarnie. Im droższą i bliższą jest dla nich osoba umierająca, tem skwapliwiej spieszą owo pogrzebanie żywcem, szczególnie starców, obawiając się, że członki zeszytwniałe wiekiem nie poddadzą się już tak łatwo operacyi zbwawienia.

Obok umarłych w grobach składają pożywienie, potrzebne na tak długą podróż, broń ulubioną i rozmaite przez żywych używane drobiazgi; ciała wreszcie zakopują głęboko w piasku, pozostawiając głowę prawie na powierzchni ziemi. Panu Moreno udało się natrafić na dawne ich cmentarze i takzwane przez Argentyjczyków „paraderos“, legowiska. Podróżnik dostrzegł tu ślady ognisk, naokoło których zastał w porządku poustawiane narzędzia rozmaite i broń, jako to: małe półokrągłe toporki, bełty, groty, noże robione z krzemienia, także wyroby garncarskie, rozmaitych kształtów, pokryte rysunkami, — kule krzemienne z wązkim okrągłym otworem, służącym do zawiązania rzemyka skózanego, (na którym owe kule rzucano do celu), ogromne moździerzce, muszle przedziurawione, używane jako ozdoba, kości strusiów, gwanaków i bobrów, pozostałe z pokarmu złożonego przy umarłych. Skronie i skielety trupów były malowane — zwyczaj dzisiaj już zarzucony.

Pan Moreno miał zamiar przez rzeki Rio-Negro i Rio-Limay dopłynąć do Kordylarów i ztamtąd dostać się do Waldywii, zamieszkałej przez Indian, którym przed niedawnym czasem miał sposobność oddać znaczną przysługę, za co obiecano mu bezpieczne podróżowanie po całym kraju. Na doprowadzenie do celu owych projektów potrzebował on zezwolenia najwyższego kacyka Indian zamieszkujących północną Patagonię. W tym celu starał się o audyencyę u Szej-Heukwe'go, kacyka siedmiu plemion, mającego pod swą władzą znowu osmdziesięciu innych kacyków. Na wydanie żądanego pozwolenia trze-

ba być ogólnej narady ze wszystkimi owymi kacykami, na którą Szej-Heukwe stawił się w otoczeniu czterech generałów i czterystu pięćdziesięciu lanc, ale pomimo tych zachodów pozwolenia odmówiono. Żądano od p. Moreno (którego wpływy u rządu argentyńskiego dobrze są znane) wyrobienia jakiejś koncessyi oddawna odmawianej. Pan Moreno nie zgodził się na przyjęcie podobnego warunku. Przy tej sposobności jednak podejmowany przez kacyka z wynurzeniami wielkiej serdeczności, zwiedzał ich legowiska i zakosztował przez kilka dni rozkoszy ich życia łamiotowego.

Naniot Szej-Heukwe'go jest, naturalnie, najwspatialszym w okolicy; ma dwanaście metrów szerokości, a dach i ściany, ze skór końskich zrobione są przymocowane do drewnianych pali. Ziemię pokrywają skóry gwanaków, poszeszywane w jeden wielki dywan. Pomieszkowanie to fikcyjnie jest podzielone na dwie części: po jednej stronie stoją łóżka czterech żon kacyka i licznych ich dzieci, w drugiej mieszkają mężczyźni. Łóżka stanowią stopy skór gwanaków, ułożonych jedne na drugich, przykrytych końskimi skórami, na których gładkiej powierzchni są malowidła. Obok każdego łóżka wbita duża gałąź służy za wieszadło do odzieży.

Kobiety utrzymują porządek w mieszkaniach, które owiele mają być schludniejsze od wielu pomieszek ludowych w Europie.

Pokarm jadają czasami gotowany; niektóre potrawy bywają zupełnie smaczne, ale największym przysmakiem są części ze strusia, gwanaka i wołu u nas, a szczególnie przez mieszkańców La Plata, ze wstrętem odrzucane, jako to: serce, płuca, lekkie, wątroba: te jadają surowe, w strumieniu krwi skapane. Biały, któryby spożył takiego przysmaku odmówił, mógłby łatwo ściągnać na siebie podejrzenie o złe zamiary i narażać się na niebezpieczeństwo.

Pan Moreno w czasie dalekich podróży nie miał prawie innego pożywienia prócz mięsa gwanaka, suszonego pomiędzy siodłem a koniem. Zdobył jego na polu naukowem osiągnięte z takim poświęceniem, podwojną mają dla niego wartość. Młody ten podróżnik wiele oddał już przysług w świecie naukowem, nieocenionych szczególnie dla badaczy czasów przedhistorycznych; imię jego też głośne jest w Europie. Zbiór okazów archeologicznych przedpotopowych, zebranych przez niego w Patagonii, należy do rzędu znakomitych.

OSTATNI TOM

to jest IV-ty dzieła pod tytułem:

ROZRYWKI

DLA MŁODOCIANEGO WIEKU

PRZEZ

SEW. PRUSZAKOWĄ (DUCHIŃSKĄ)

Wyszedł z druku

Prenumerotorowie *Bluszczu* tom I-szy otrzymali w kwartale I-ym bezpłatnie; — cena każdego z następujących tomów w Warszawie kopiejek 50, z przesyłką kopiejek 60.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tytułem: **Silny duch**.

zabezpieczającego mu utrzymanie przez pracę, żąda nie tego prawa, żeby był utrzymywany, ale żeby się mógł sam utrzymać. Nie jest prawo dla ubogich wyłącznie. Czy może robotnik z własnej pracy wyżyć? Produkcyjność pracy daje odpowiedź twierdzącą. Pracownikowi należy się zapłata, udział i zysk w stosownej części. Lecz z kąd pretensje do społeczeństwa? Jest to pewnik prawnopolityczny, że nikogo nie wolno krzywdzić, a jeżeli się to stanie, należy krzywdę wynagrodzić, naprawić. Ubogi może podnosić skargę, że przez instytucyę własności został niejako wykluczonym, oddanym na nędzę; więc rości prawo do tego, co niezbędne. Robotnik zarzuca, że przy wielkiej produkcyi nie dają się wszystkim uczuć następstwa podziału pracy, (szybkości, tanioci, doskonalosci wyrobów) tylko niektórym, właścicielom fabryk n. p. Musi tkwić zatem zasadniczy błąd w urządzeniach społecznych. Błąd leży, nie w produkcyi, ale w prawie, które rozdziela nabyte dobra tak, jak to jeszcze rzymskie prawo czyniło. Prawo rzymskie znało tylko zdobycie rzeczy, bez względu na jej zmiany, ma przerobienie, na podniesioną jej wartość przez pracę. Nowożytna produkcyja wymaga wręcz przeciwnego traktowania; na czele ustaw powinna stać zasada: „Wszelkie prawo polega na pracy, praca jest pierwotnem źródłem prawa.“ Na tej zasadzie winien być oparty systemat prawny, biorący w obronę żywą pracę, ujmujący ją w organizacyę pewną; i oto jest duchowa istota *prawa do pracy*. Stosunek ten musi być na rzecz ludzkości i solidarności wszystkich społecznych interesów o tyle ograniczony, żeby to, co jest niezbędnem, każdemu się dostało — każdemu według jego pracy, wszystkim to, co niezbędne. Istniejące majątki niechaj pozostaną; idzie o formułę prawną na drodze legalnej. Z organizacyi takiej wyniknie i ułatwienie jej samej, zaopatrzenie niezdolnych do pracy w środki do życia. Formuły tej i tej organizacyi świat teraz szuka, szukają jej nie tylko robotnicy, stan czwarty, ale już rządy i państwa. Sprawy te mają przyszłość, dzisiaj kielkują, a będą prawdopodobnie głównem zadaniem wieku dwudziestego. Nasze wnuki już może na inny porządek społeczny patrzeć będą, więc warto o tem myśleć.

W kierunku pracy dzielnie wyteża swe siły tu-tejsze „Towarzystwo zarobkowe kobiet.“ Osmnastego tegoroczne walne zebranie pod przewodnictwem pani Eitelberger stwierdziło z ubiegłego roku wyniki następujące: Szkoły towarzystwa rozwijają się świetnie, 11 dziewcząt ukończyło szkołę handlową i otrzymało dobre miejsca w biurach wielkich firm. Bardzo licznie są uczęszczane szkoły języków, stenografii, haftów, rysunków, techniki malarskiej, wyrobów pończoszkowych na maszynach i białej bielizny. Majątek towarzystwa wynosi 195,446 złr.

Nakoniec wspomnienie pośmiertne. W sędziwym wieku umarła tu Fanny Elssler, „doktor tańca i mimiki“, otoczona ogólnym szacunkiem, którym się całe życie cieszyła i na które zasługiwała. Zwłoki uczcił wieńcami i udziałem w pogrzebie cały Wiedeń, poczynszy od domu cesarskiego. W żadnej gazecie nie pojawiło się ani jedno słowo uwłaczające pamięci tej tancerki. Staruszka była do końca życia ozdobą najlepszych towarzystw; wdzięk, inteligencya, pogoda umysłu, godność jej były powszechnie znanymi. Godziło się to wszystko tutaj zaznaczyć.

TREŚĆ. Nowy Rok, przez Maryę Hnicką. — Głupia dziewczyna, (dokończenie), przez Edwarda Lubowskiego. — Listy z Magdeburga VII, J. I. Krauszewskiego. — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie). — Za Oceanem, wspomnienia z podróży, (dalszy ciąg), przez Helenę Negroni.

Dodatek obejmuje: powieść pod tytułem: **Silny duch**, arkusz 6-ty, przez W. Heimbürg. — 44 wzory ubiorów i robót wraz z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyę stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 18 Декабря 1884 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

